

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

ISABEL

Byłam przeciwniczką popełniania przestępstw, jeśli można było w zamian popełnić jedynie wykroczenie. Skorzystanie ze szkolnego laboratorium oznaczałoby kradzież z włamaniem. Użycie jednego z zapasowych kluczy do kliniki mojej matki kwalifikowało się za ledwie jako nielegalne wtargnięcie. To była kwestia zdrowego rozsądku. Zaparkowałam SUV-a na parkingu sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy, żeby nikt przejeżdżający obok kliniki nie zauważył niczego podejrzanego. Byłabym znakomitą przestępczynią. Może jeszcze będę. Byłam przecież młoda, a możliwe, że moje studia medyczne nie wypalą.

- Nie zniszcz niczego – poinstruowałam Cole’a, zapraszając go do środka, z całą świadomością, że w jego przypadku jest to apel daremny.

Maszerował korytarzem, przyglądając się plakatom na ścianach. Klinika była dla mojej matki projektem na pół etatu. Poza tym pracowała też w lokalnym szpitalu. Kiedy otworzyła tę oto placówkę, ściany udekorowała dziełami sztuki, na które nie miała miejsca w domu, i tymi, które jej się znudziły. Chciała, żeby klinika wyglądała przytulnie. Po śmierci Jacka pozbyła się z domu wielu eksponatów, a kiedy ta faza żałobna minęła, zabrała te dzieła ze ścian przychodni, żeby z powrotem zapełnić nimi dom. Teraz na ścianach wisały tylko plansze i plakaty stanowiące przejaw czegoś, co lubiłam nazywać „późnym okresem farmaceutycznym w sztuce”.

- Do końca i na prawo – pokierowałam Cole’a. – Nie tam. To jest łazienka.

Gdy zamykałam za sobą drzwi, na dworze było już ciemno, ale to nie miało znaczenia, bo po włączeniu brzęczących fluoroscencyjnych świetlówek wszystkie pory dnia i nocy w klinice wyglądały tak samo. Zawsze powtarzałam mamie, że jeśli naprawdę chce, żeby w placówce było przytulnie, powinna zastąpić oświetlenie rodem z supermarketu normalnymi żarówkami.

Cole zdążył już zniknąć w małym laboratorium. Powoli ruszyłam za nim. Potrzebowałam odpoczynku. Olałam lekcje, żeby zawieźć chłopakowi przesyłkę, ale bynajmniej nie pospałam dzięki temu dłużej – już od rana byłam zwarta i gotowa. Potem pomogłam mu zastawić niewiarygodnie poważnie wyglądającą pułapkę na Becka, uważając, żeby nie wpaść do leja, z którego podobno razem z Samem wyciągnęli Grace. Poczekałam do zamknięcia kliniki, po czym powiedziałam rodzicom, że jadę na spotkanie samorządu uczniowskiego. No i wylądowałam tutaj. Przez cały dzień nic nie jedliśmy i zaczynałam się czuć jak męczennica za sprawę wilkołaków. Zatrzymałam się w recepcji i otworzyłam małą lodówkę pod blatem. Złapałam dwa soki i wzięłam je ze sobą. W końcu lepszy sok niż nic.

W laboratorium Cole siedział już na obrotowym krześle i pochylał się nad stojącym na blacie mikroskopem. Jedną rękę trzymał wysoko, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. Po sekundzie zdałam sobie sprawę, że naciął sobie skórę na palcu i w ten sposób tamuje krwawienie.

- Chcesz jakiś plaster czy wolisz udawać Statuę Wolności? – zapytałam, po czym postawiłam obok niego butelkę z sokiem, a po zastanowieniu odkręciłam korek.

Zamachał zakrwawionym palcem w podziękowaniu.

- Nie mogłem znaleźć plastrów – wyjaśnił. – A właściwie to nie szukałem. Czy to metanol? Och, popatrz, tak.

Znalazłam dla niego opatrunek i przyciągnęłam sobie drugie krzesło. Nie trwało to długo. Laboratorium było wielkości garderoby. Wszędzie stały pudełka z wacikami, tamponami i szpatułkami lekarskimi oraz buteleczki ze spirytusem i wodą utlenioną. Maszyna do analizy moczu, mikroskop, wirówka do probówek krwi. Nie zostało zbyt wiele miejsca dla dwóch pracowników i ich krzeseł.

Chłopak rozmazał odrobinę swojej krwi na szkiełku i oglądał ją teraz pod mikroskopem.

- Czego szukasz? – zapytałam go.

Nie odpowiedział. Brwi miał ściągnięte i był głęboko zamyślony. Najprawdopodobniej wcale mnie nie słyszał. Podobało mi się, jak wyglądał. Nie grał, był po prostu całym sobą, Cole'em. Nie opierał się, gdy wzięłam jego dłoń i otarłam krew.

- Na litość boską – zauważyłam – czego ty użyłeś do zrobienia tego nacięcia? Noża do masła? – Przykleiłam mu plaster i puściłam jego rękę. Natychmiast użył jej, żeby ustawić ostrość w mikroskopie.

Milczenie zdawało się trwać wieki, ale prawdopodobnie upłynęła zaledwie minuta. Nagle Cole odsunął się od mikroskopu, nie patrząc na mnie. Zaśmiał się krótko, z niedowierzaniem.

- Chryste – powiedział tylko i znowu się zaśmiał tym urywanym śmiechem.

Zaczęło mnie to irytować.

- Co takiego?
- Po prostu... spójrz. – Odepchnął się od stołu i przyciągnął w to miejsce moje krzesło na kółkach. – No i co widzisz?

Pomyślałam, że pewnie nie zobaczę nic, biorąc pod uwagę, że nie wiedziałam, na co mam patrzeć. Ale postanowiłam zrobić mu tę przyjemność. Przyłożyłam oko do okularu i zerknęłam. Cole miał rację... natychmiast zobaczyłam to samo, co on. Mnóstwo czerwonych krwinek, bezbarwnych i normalnych. Orz dwie czerwone kropki. Odsunęłam się od blatu.

- Co to jest? – zapytałam.
- To wilkołak – oświadczył chłopak, kręcąc się na obrotowym krześle. – Wiedziałem. Wiedziałem.
- Co wiedziałeś?
- Że albo mam malarię, albo tak właśnie wyglądają wilki. Trwają sobie w moich krwinkach. Wiedziałem, że to funkcjonuje jak malaria. Wiedziałem. Chryste!

Wstał, bo nie mógł już usiedzieć w jednym miejscu.

- Wspaniale, genialny chłopcze. Ale co to oznacza dla wilków? Możesz to wyleczyć jak malarię?

Cole patrzył na wykres na ścianie przedstawiający w jaskrawych kolorach, których nie używano od lat sześćdziesiątych, stadia rozwoju płodu. Machnął na mnie ręką.

- Malaria jest nieuleczalna.
- Co ty gadasz? – zaprotestowałam. – Przecież leczy się ludzi chorych na malarię.
- Nie – poprawił mnie chłopak. – Po prostu powstrzymuje się chorobę, żeby nie zabijała.
- Więc mówisz, że nie ma lekarstwa – podsumowałam. – Ale jest sposób, żeby powstrzymać rozwój choroby... Już powstrzymałeś śmierć Grace. Nie rozumiem więc, co to za rewelacje.
- Sam. Sam jest rewelacją. To tylko potwierdziło moje podejrzenia. Potrzebuję więcej czasu. Potrzebuję papieru – rzucił Cole, odwracając się w moją stronę. – Potrzebuję... - Przerwał, powoli się uspokajając.

Czułam się nieco zawiedziona. Spodziewałam się objawienia, a nadal niewiele z tego wszystkiego rozumiałam. A włamanie do kliniki po zmroku przypomniało mi o tym, jak z Grace przyprowadziłyśmy tutaj Jacka. I naszą porażkę, i moja stratę. Generalnie miałam ochotę po prostu zwinąć się w kłębek na swoim łóżku.

- Jedzenie. Sen – zasugerowałam. – Oto, czego ja potrzebuję. I wynieść się stąd w cholerę.

Cole ściągnął brwi, patrząc na mnie, jakbym powiedziała, że potrzebuję kaczki i zajęć jogi.

Wstałam i spojrzałam mu w twarz.

- W przeciwieństwie do wilkołaków ja muszę chodzić do szkoły.
- Dlaczego jesteś wkurzona?

- Nie jestem wkurzona – zaproponowałam. – Jestem zmęczona. Chyba po prostu chcę już stąd iść.
- Chociaż myśl o powrocie do domu nie była zachęcająca.
- Jesteś wkurzona – powtórzył. – Już prawie to mam, Isabel. Prawie to rozgryzłem. Myślę, że... jestem naprawdę blisko rozwiązania. Muszę pogadać z Samem. Jeśli uda mi się go skłonić, żeby ze mną porozmawiał...

I nagle zmienił się w zwykłego, zmęczonego, przystojnego faceta. Nie był już gwiazdą rocka z dziesiątkami tysięcy fanów, którzy zastanawiali się, gdzie jest, ani geniuszem z mózgiem tak wielkim, że buntował się przeciwko używaniu go i próbował w zamian wymyślić sposoby, żeby zrobić sobie krzywdę.

Gdy zobaczyłam go w taki stanie, poczułam, jakbym czegoś od niego potrzebowała. Albo właśnie jego. A to prawdopodobnie oznaczało, że on też potrzebował czegoś ode mnie. Albo po prostu mnie. To objawienie było jak patrzenie na tamte kropki na szkiełku, które znaczyły coś dla niego, ale niekoniecznie dla mnie.

Nagle usłyszałam znajomy dźwięk: odległy trzask otwieranego zamka. W budynku był ktoś jeszcze.

- Cholera, cholera, cholera – wysyczałam. Miałam dwie sekundy na obmyślenie planu. – Bierz swoje rzeczy i włącz pod blat! – Cole złapał szkiełko z próbką swojej krwi, sok i papierek po plastrze, a ja upewniłam się, że schował się pod stołem, zanim wyłączyłam światło w laboratorium i wepchnęłam się pod blat za nim.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się powoli, a potem ciężko zamknęły. Usłyszałam poirytowane westchnienie mojej matki, wystarczająco głośne i dramatyczne, żeby dotarło aż do laboratorium. Miałam nadzieję, że jej irytacja była wywołana jedynie faktem, że ktoś zostawił włączone światło w korytarzu.

W ciemnościach widziałam tylko lśniąco oczy Cole'a, w których odbijało się światło z przejścia. Pod blatem nie było zbyt dużo miejsca, więc kuliliśmy się kolano przy kolanie, stopa na stopie. Trudno było stwierdzić, czyj oddech należy do kogo. Oboje byliśmy absolutnie cicho, nasłuchiwalismy, co robi moja matka. Usłyszałam jej obcasy stukające w jednym z pierwszych pomieszczeń, w okolicach recepcji. Spędziła tam kilka chwil. Cole poprawił stopę, tak żeby mój but nie napierał na jego kostkę. Coś trzasnęło mu w ramieniu, gdy się poruszył. Oparł jedną rękę o ścianę za mną. Moja ręka przez pomyłkę wylądowała między jego nogami, więc ją cofnęłam.

Czekaliśmy.

Moja matka powiedziała bardzo wyraźnie: „Cholera”. Przeszła korytarzem i zajrzała do jednego z gabinetów lekarskich. Znowu dotarł do nas szelest papierów. We wnęce pod blatem było ciemno jak w nocy, zbyt ciemno, żeby moje oczy przyzwyczyły się do mroku, i wydawało mi się, jakbyśmy mieli więcej nóg niż potrzeba. Moja matka upuściła jakieś dokumenty. Usłyszałam, jak spadają na podłogę. Ale tym razem nie zakłęta.

Cole pocałował mnie. Powinnam mu powiedzieć, żeby przestał, żeby siedział cicho, ale tak bardzo tego pragnęłam. Nie ruszyłam się, tylko pozwoliłam, żeby całował mnie bez końca. To był taki pocałunek, po którym dojście do siebie zajmuje dużo czasu. Można by zebrać wszystkie nasze pocałunki, począwszy od tego pierwszego, gdy się poznaliśmy, i położyć je na płytkach pod mikroskopem. Wiedziałam, co byłoby w nich widać. W pierwszym nawet ekspert nie dostrzegłby nic szczególnego, przy następnym pojawiłyby się pewne łaty ulegające zniszczeniu cząsteczki, a potem byłoby ich coraz więcej i więcej, aż można by je dostrzec nawet gołym okiem. Byłyby dowodem na to, że prawdopodobnie nigdy się z siebie nie wyleczymy, ale być może uda się nam powstrzymać tę chorobę przed zniszczeniem nas.

Usłyszałam kroki matki, na sekundę zanim zapaliło się światło w laboratorium. A potem ciężkie westchnienie.

- Isabel, dlaczego?

Cole odsunął się ode mnie, więc wyglądaliśmy jak dwa oposy kryjące się za śmietnikiem. Zobaczyłam, jak matka lustruje nas szybko, sprawdzając najważniejsze szczegóły: mieliśmy na sobie ubrania, nic nie zostało zniszczone, niczego sobie nie wstrzykiwaliśmy. Spojrzała na Cole'a, który obdarzył ją leniwym uśmiechem.

- Ty... ty jesteś z... - zaczęła, przyglądając mu się ze zmrużonymi oczami. Czekałam aż powie: „z zespołu NARKOTIKA”, chociaż nie wyobrażałam sobie, że mogłaby być fanką takiej muzyki. Ale w zamian dokończyła: - Tym chłopcem ze schodów. Z domu. Tym nagim. Isabel, kiedy powiedziałam, że nie chcę, abyś robiła takie rzeczy w domu, nie miałam na myśli, żebyś przeniosła się z nimi do kliniki. Czemu siedzicie pod tym blatem? Och, nie chcę nawet wiedzieć. Po prostu nie chcę.

Tak naprawdę nie miałam jej nic do powiedzenia.

Moja matka potarła brew dłonią, w której trzymała ciasno zadrukowany formularz.

- Boże, gdzie jest twój samochód?
- Po drugiej stronie ulicy – oznajmiłam.
- No tak. – Potrząsnęła głową. – Nie powiem twojemu ojcu, że cie tu widziałam, Isabel. Tylko, proszę, nie... - nie sprecyzowała, czego mam nie robić. Zamiast tego wyrzuciła moją na wpół wypitą butelkę soku do śmietnika przy drzwiach i znowu wyłączyła światło.

Słyszałam jej kroki oddalające się korytarzem, a potem rozległ się szcęk zamka.

W ciemnościach Cole był niewidzialny, jednak wciąż czułam jego obecność obok. Czasami nie trzeba czegoś widzieć, żeby wiedzieć, że istnieje.

Poczułam łaskotanie na skórze. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że on jedzie modelem mustanga w górę po moim ramieniu. Śmiał się pod nosem, stłumionym i zaraźliwym śmiechem, jakby wciąż istniał powód, żeby być cicho. Obrócił samochodzik i ruszył w dół, w kierunku mojej dłoni. Kóleczka ślizgały się odrobinę na skórze. A Cole wciąż się śmiał.

Pomyślałam, że to było najprawdziwsze zachowanie, jakie kiedykolwiek widziałam u Cole'a St. Claira.